

Amerykanie w Syrii

15 kwietnia 2017

Z wydarzeń ostatniego tygodnia najbardziej zaskakującym, a jednocześnie wzbudzającym niepokoje jest zbombardowanie bazy lotnictwa syryjskiego przez wojska amerykańskie. Na łamach „Jacobina” nie zabrakło odniesień do tego tematu.

Decyzję podjętą przez Trumpa analizuje Alex Gourevitch, profesor nauk politycznych z Brown University.

Trump postrzegany był jako kandydat prorosyjski. Podjęta przez niego interwencja wyraźnie jednak godzi w rosyjską strefę wpływów – choć wydawało się, że Stany abdykowały już z rozgrywania sytuacji w Syrii. Być może wynika to z osobowości Trumpa, która już przed wyborami była źródłem obaw. Z jednej strony, postrzegano Trumpa jako osobę o bardziej wojowniczej retoryce, ale bardziej powściągliwego niż Barack Obama czy Hillary Clinton, którzy pod fasadą gołębiej retoryki zrzucali bomby na Libię.

Jednocześnie Trump, jako osoba o mentalności patriarchalnego samca alfa, gotowy jest udowodniać, choćby na przekór rozsądkowi, swoją siłę. Jeszcze przed zbombardowaniem syryjskiej bazy przedstawiciel Białego Domu wydał oświadczenie odnoszące się do kolejnych testów z bronią nuklearną przeprowadzanych przez Koreę Północną. Stwierdził on, że sytuacja doszła tak daleko, że rozważane są „wszystkie opcje”. Może to oznaczać umieszczenie głowic nuklearnych na terytorium Korei Południowej, działania dywersyjne mające na celu obalenie Kim Dzong Una lub zabicie jego i najważniejszych osób posiadających dostęp do broni jądrowej, lub też inwazję na Koreę Płn. Zważywszy na ambicje Trumpa w zakresie konfrontacji z Chinami, militarne działania przeciwko reżimowi w Pjongjangu wydają się być, zwłaszcza po nalocie na Syrię, scenariuszem ryzykownym, ale prawdopodobnym.

W oświadczeniu o nalocie Donald Trump mówił o przekroczeniu granicy i o cierpieniu dzieci. Naiwnością byłoby zakładanie, że był to rzeczywisty powód. Tragiczny los syryjskich dzieci nie jest wiele lepszy od losu dzieci jemeńskich, również narażonych na skutki stosowania broni chemicznej, tyle że ze strony Arabii Saudyjskiej, najbliższego po Izraelu sojusznika Amerykanów na Bliskim Wschodzie.

Donald Trump wykazał się na pewno większą konsekwencją niż Barack Obama, który mimo przekroczenia przez Asada „czerwonej linii” już parę lat temu nie zdecydował się na spełnienie swoich zapowiedzi interwencji, mimo mniejszego zaangażowania ze strony wojsk rosyjskich w tamtym okresie. Szybkość reakcji wskazuje, że była to decyzja podjęta pod wpływem impulsu, niekoniecznie skonsultowana z doradcami i gabinetem, w którym znajdują się osoby bezpośrednio zainteresowane budowaniem dobrych relacji z Moskwą.

Nie znamy motywów, jakimi kierował się Trump. Jeżeli interwencja ma być dowodem jego osobistej siły, nie będzie mógł na niej poprzestać. Będzie to oznaczało, że jest niekonsekwentny w działaniu.

Interwencje militarne stanowiły dla amerykańskich prezydentów pokaz siły, jakiej nie mogą zaprezentować na własnym podwórku. Być może swoistym szczęściem państw takich jak Polska jest to, że nie mamy tyle militarnej siły aby przeprowadzać interwencje w krajach o mniejszym potencjale, a instytucje są na tyle słabe, że władza o skłonnościach autorytarnych może bez problemu pacyfikować kolejne instytucje. Trump takiej władzy nie ma. Przeciwko jego dekretem buntują się sędziowie i władze miast – na tych drugich próbuje wpływać, musi jednak uznać siłę władzy sądowniczej. Nikt jednak nie mógł mu zabronić podjęcia interwencji przeciwko syryjskiej armii. Wraz ze wzrostem zaangażowania w ten konflikt, będzie jednak napotykać na kolejne przeszkody – optymistycznie bowiem możemy zakładać, że nie zależy mu na sprowokowaniu wojny z Rosją. W przeciwieństwie do wielu innych interwencji, tutaj musi liczyć

się ze zdaniem innej strony konfliktu. Ponieważ Trump i Putin, choć mają inną ścieżkę zawodową, reprezentują inny typ osobowości, być może powinniśmy spodziewać się prowokacji ze strony Rosjan i liczyć na wyważoną reakcję Trumpa – tym bardziej, że celem prowokacji mogą być oddziały stacjonujące w Europie – może niekoniecznie w polskich bazach, co jest tylko niewielkim pocieszeniem.

Pod tym względem operacja w Syrii znacząco różni się od decyzji podejmowanych przy znacznym sprzeciwie społecznym, jak choćby interwencja wojsk amerykańskich (wspieranych przez Polskę i Argentynę) na Haiti w 1994 r., mająca na celu obalenie dyktatorskiego reżimu. Bill Clinton argumentował wówczas, że racje moralne są ważniejsze niż popularność jego decyzji. Interwencja ta wpisywała się w doktrynę humanitarnej interwencji. Jej korzenie sięgają lat 80., a w pełni rozwinęła się w latach 90., po upadku ZSRR i sukcesie interwencji w Zatoce Perskiej, kiedy Stany przyjęły na siebie rolę globalnego policjanta.

Doktryna ta prowadzi do paradoksów – zaangażowanie Stanów we wspieranie afgańskich mudżahedinów w latach 80. doprowadziło do umocnienia skrajnych islamistów, dając jednocześnie podłoże pod międzynarodowy islamski terroryzm. Kiedy obchodzimy demokratyczne procedury, narażamy się na sprowokowanie reakcji nieoczekiwanych w momencie podejmowania interwencji, nawet jeśli jej formalny cel (jak w przypadku Haiti, gdzie na początku lat 90. w istocie doszło do zamachu stanu) nie pozostawia moralnych wątpliwości. Zawsze jednak pozostaje pytanie o motywy naprawiania rzeczywistości w takim a nie innym państwie. Błędem byłoby bowiem założenie, że prowadzenie humanitarnych interwencji przyczyniło się do ograniczania liczby niedemokratycznych reżimów łamiących prawa człowieka. Część z nich pozostaje wręcz niezbędnym elementem globalnej układanki mającej na celu utrwalanie pozycji „globalnego policjanta”...

Działania militarne prowadzą do nowych kryzysów. Obalenie

Kaddafiego, połączone z eskalacją wojny domowej w Syrii i niepokojami w Egipcie, otworzyło drogę do Europy setkom tysięcy ludzi, którym odmawia się wsparcia. Obwinianie Trumpa winą za ewentualny wzrost liczby uchodźców nie jest jeszcze uzasadnione – ten konkretny atak skierowany był wyłącznie przeciwko celom militarnym, nie można również zakładać, że przy braku działań wojna zakończy się szybko. Reżim Asada stosuje metody sprawiające, że ucieka przed nim co najmniej tyle samo osób co przed Państwem Islamskim i innymi fundamentalistami. Humanitarne interwencje nie rozwiązują podstawowego problemu, jakim jest opieranie bezpieczeństwa na współpracy z dyktaturami, które z natury prowadzą do społecznego przesilenia i przewrotu – dawniej rolę „bezpiecznika” utrzymującego fale imigracji poza Europą była Libia Kaddafiego, dziś rolę tę z ogromnymi turbulencjami przyjmuje dryfująca ku autorytaryzmowi Turcja. W ten sposób nie rozwiązujemy genezy problemu, odwlekamy jedynie jego skutki w czasie.

Gourevitch stawia tezę, że bardziej do rozwiązania problemów przyczyni się przyjmowanie uchodźców z obszarów konfliktu. Jest to działanie słuszne, nie tylko ideologicznie, ale również pragmatycznie – dzisiaj sytuację w Somalii może ustabilizować nowy prezydent, żyjący wcześniej w Stanach jako uchodźca. Ważne jednak jest zwalczanie przyczyn uchodźstwa. Wspieranie dyktatorskich reżimów to nic innego jak stwarzanie pozorów bezpieczeństwa w sytuacji, gdy w pokoju znajduje się bomba z opóźnionym zapłonem. Potrzebne jest znalezienie metod zmiany sytuacji drogą inną niż militarna.

A co z samą Syrią i podejściem Ameryki do toczącego się tam konfliktu? Tym tematem zajmuje się Branko Marcetic z redakcji „Jacobina”. Odczytuje on decyzję Trumpa, podobnie jak Gourevitch, jako sposób na odciążenie uwagi od spraw krajowych, gdzie spotyka się z ogromnym oporem społeczeństwa. Zbombardowanie bazy wojsk Asada spotyka się z życzliwym przyjęciem ze strony środowisk sprzeciwiających się działaniom

antyimigranckim czy deformie służby zdrowia, pozbawiającej prawa do nieodpłatnej opieki najuboższych Amerykanów. Decyzję poparli również republikanie sceptyczni wobec Trumpa, jak John McCain czy Lindsey Graham. Paul Ryan, kandydat na wiceprezydenta w 2012 r., sceptyczny wobec interwencji podejmowanych przez Obamę i dystansujący się wobec Trumpa, pochwalił jego decyzję jako w pełni uzasadnioną. Ted Cruz, główny konkurent Trumpa w 2016 r., wcześniej uznający użycie broni chemicznej przez Asada za wydarzenie nieistotne z amerykańskiego punktu widzenia, Dziś uznaje, że celem Trumpa powinno być powstrzymanie terrorystów przed przejęciem kontroli nad bronią chemiczną w Syrii.

Poparcie widać również po lewej stronie sceny politycznej. Stacja MSNBC, utożsamiana z demokratycznym odpowiednikiem Fox News, przez parę dni krytykowała Trumpa za brak reakcji, oczekując interwencji i zniszczenia samolotów używanych do przeprowadzania nielegalnych ataków. Pojawiały się wręcz propozycje radykalne, jak „zniszczenie całego syryjskiego lotnictwa”. Emerytowany generał Barry McCaffrey bagatelizował przy tym znaczenie rosyjskiej armii, umieszczając jej potencjał w „drugim, a może nawet trzecim szeregu”. Niezależnie od poglądów na kwestię Syrii, takie postawienie sprawy wydaje się być szaleństwem.

Głosy poparcia dla Trumpa popłynęły również na łamach „New York Times” ze strony Nicholasa Kristofa, publicysty wyjątkowo zaangażowanego w rozważanie wszelkich możliwości obalenia prezydenta. Wcześniejsze wypowiedzi (oraz konkretne działania, jak choćby w kwestii Libii) Hillary Clinton sugerują, że również ona byłaby gotowa podjąć tego typu działanie.

W narracji tej brakuje miejsca na sceptycyzm, podparty konkretnymi doświadczeniami. Wielokrotnie amerykańskie interwencje prowadziły nie do stabilizacji, ale do pogorszenia sytuacji. Proces ten widoczny jest co najmniej od wojny w Wietnamie.

Pozorowana interwencja pozostaje zatem skutecznym narzędziem w polityce prawicy. Autorzy obydwu tekstów stawiają wiele wartościowych diagnoz, brakuje jednak jednej odpowiedzi – co dalej z Syrią, w jakim stopniu jest to również „nasz” (amerykański/europejski) konflikt. Jego skutki odczuwamy w postaci fali imigrantów, wzrostu islamofobii i jej bliźniaczego problemu, czyli ekstremizmu i terroryzmu (obie postawy nie mogą bez siebie istnieć – zamachy napędzają islamofobiczną retorykę, zaś dyskryminacyjne działania powodowane strachem przed islamem popychają ludzi w objęcia radykałów).

Osobą odpowiedzialną za konflikt w Syrii jest Baszszar al-Asad. Podjęte przez niego drastyczne środki skierowane przeciwko pokojowym demonstrantom sprawiły, że opór przybrał charakter zbrojny. Wsparcie sił opozycji na wstępnym etapie konfliktu mogło przyczynić się do jego szybkiego rozwiązania. Jak widać, ograniczone wsparcie nie przyczyniło się do ograniczenia konfliktu, a wkroczenie trzeciego aktora w postaci ISIS i innych fundamentalistów (zyskujących na sile przy wsparciu państw regionu) stworzyło węzeł gordyjski. Brak zaangażowania również może oznaczać opowiedzenie się po którejś ze stron – rezygnacja z interwencji amerykańskiej nie spowoduje, że z konfliktu wycofają się sojusznicy Stanów czy, z drugiej strony, oś Moskwa-Ankara-Teheran. Działania Trumpa trudno określić jako wyraz szczerej troski o Syrię i należy mieć nadzieję, że nie doprowadzą do poważnych wstrząsów. Niewykluczone, że utrzymanie reżimu Asada jest dziś jedynym warunkiem stabilizacji sytuacji w Syrii. Musimy jednak wiedzieć, że oznacza to kolejne fale uchodźców, nie zatrzyma terroryzmu (który nasila się tym bardziej, im słabsza jest pozycja organizacji stosujących tę metodę), a obalenie syryjskiego reżimu odsuwa jedynie w czasie, nie wiadomo jak bardzo odległym.

Autorstwo: Michał Żakowski

Źródło: Trybuna.eu